Rozmaitości

Dnia 4. Listopada Nr 44. 1837 Roku.

NOWY ZÉGAR
NA WIEŻY RATUSZNÉJ
WE LWOWIE.

Mieszkańcom Lwowa nie obojętną będzie zapewne bliższa wiadomość o utworze sztucznym, który od niedawna w obwodzie murów miasta posiadamy, o utworze, co w tak ścisłym jest związku z codziennemi naszego życia sprawami. Chcę mówić o zégarze na tutejszéj wieży ratusznéj, zrobionym w Wiédniu w warsztacie c. k. instytutu politechnicznego, a to podług układu i pod przewodem znanego nader zaszczytnie profesora **Stampfera**. Pod okiem tegoż samego gorliwego i niespracowanego męża ustawiono ten zégar na tutejszéj wieży i zregulowano.

Aby czytelnikom dać niejakie wyobrażenie tego arcydzieła mechaniki, pozwalamy sobie zwrócić ich uwagę na piérwsze zasady zégara.

Do mierzenia czasu potrzeba jakiegoś nieustannego i regularnego następstwa, czyli ruchu ciągłego i jednostajnego; aby zaś to uzyskać, potrzeba: 1) siły poruszającéj (czyli popędnéj) stałéj, ciągle się ponawiającéj; siłą tą jest u zégarów z wahadłami siła ciężenia, u stołowych zaś i kieszonkowych sprężystość odwijającéj się sprężyny; 2) pewnego przyrządzenia regulującego, któreby ruch ciągły zamieniało w jednostajny; regulatorem tym jest wahadło w zégarach z wahadłami, w kieszonkowych zaś tak zwany ruchlik *(Unruhe)*; 3) przyrządzenia, któreby utrzymywało w związku regulatora z siłą popędną, które to przyrządzenie powściągiem *(Hemmung)* zégara zowiémy; ostatni ten przedmiot zaostrzał przede wszystkiem rozum tych, co się wydoskonaleniem zégarów zajmowali.

Jakkolwiek wielkie i zadziwiające są postępy, jakie dotąd uczyniła sztuka zégarmistrzowska, jednak korzystały z nich najwięcéj tylko zégary astronomiczne i tak zwane chronometry (zégary przenośne największéj dokładności), zégarom zaś wieżowym nie wiele poświęcano uwagi; gdy bowiem na udoskonalenie zégarów astronomicznych i chronometrów wysilały się największe głowy, tymczasem robienie zégarów wieżowych zostawione było piérwszemu lepszemu zégarmistrzowi, a co większa, do doglądania takich zégarów użyci są w wielu miejscach ludzie zupełnie nie umiejętni.

Że zégar wieżowy większe ma rozmiary nie idzie za tém bynajmniéj, aby części jego składowe miały być grubszą wykonane robotą; i owszém, przy większych rozmiarach, więcéj można w wyrobieniu zachować dokładności. Szczególność tylko zamiaru i niektóre okoliczności zégarowi wieżowemu zawsze towarzyszące, wymagają stosownego urządzenia i ustawienia; dla tegoto profesor **Stampfer** wielką dla miast położył zasługę, że tak ważnemu, a dość zaniedbanemu przedmiotowi uwagę swoję poświęcił.

Nie potrzebujemy podobno zapuszczać się w obszérny wywód dogodności, wynikających z dobrze uregulowanego zégara miejskiego; wszak z doświadczenia wiedzą mieszkańcy każdego miasta, ileto bywa przeszkód i nieprzyjemności, jeźli przy wielu codzień powtarzających się zatrudnieniach, każden na swój zégarek zdawać się musi; a któżby wreszcie chciał psuć dobry swój zégarek kieszonkowy, nastawianiem go na miejski, gdy jest przekonany, że mu ufać nie może, bo konstrukcyja jego zła, a przytém wiatr i stan

powietrza wpływ nań szkodliwy wywiérają. Jeźli zégar miejski ma odpowiedzieć swemu przeznaczeniu, to jest, jeźli ma być wspólnym dla wszystkich regulatorem, i wymierzać czas wszelkiéj sprawie życia miejskiego, tak, aby każden bez obawy psucia własnego zégara mógł go według wieżowego nastawiać, to ten ostatni powinien być zrobiony i doglądany z taką dokładnością i ścisłością jak zégar astronomiczny.

I takim właśnie jest nasz zégar miejski. Ciężar zawieszony u walca nadaje temu zégarowi ruch; wahadło bardzo dowcipnego pomysłu reguluje go, powściąg zaś jest tak zwany wolny, to jest, siła popędna tyle tylko wywiera działania na wahadło, aby je w ciągłém utrzymać mogła kołysaniu, która to okoliczność, aby regulator rządzący siłą popędną, sam był od niéj, o ile być może, najmniéj zawisłym, jest do doskonałości zégara bardzo potrzebna. Takim powolnym powściągiem opatrują angielscy mechanicy, jak mówi sławny profesor Schubert (*Vermischte Schriften*, tom IV. r. 1826), zwykle tylko chronometry, a rzadziéj już zégary astronomiczne wahadłowe. Pomiędzy zégarami wieżowemi nasz tylko jeden, a drugi zégar domowy c. k. instytutu politechnicznego wiedeńskiego, odznaczają się taką zaletą.

Ale nieporównaną wyższość ma nasz zégar nad innémi, w swoim regulatorze. Wiadomo, iż czas trwania pojedyńczych wahań zawisł od długości wahadła, tak, iż wahadło sekundowe, to jest takie, które swojemi poruszeniami ma odcinać sekundy (czasu), powinno mieć pewną niezmienną długość.*) Że zaś sztaba metalowa, z któréj wahadło zrobione, za podwyższeniem temperatury przedłuża się, a za zniżeniem téjże skraca, potrzebne jest tedy pewne takie urządzenie, ażeby długość wahadła, mimo zmian temperatury, niezmienną pozostała. Urządzenie to niezbędne, szczególniéj przy zégarach wieżowych, na tak znaczne zmiany temperatury wystawionych, nazywa się kompensacyją ciepła. Nie możemy się tu zapuszczać w rozbiór bardzo przemyślnego sposobu, którym kompensacyja ciepła jest przy naszym zégarze urządzona, dość nam tu o tém wiedzieć, że ona odpowiada najnowszym postępom umiejętności.

Ale najgodniejszém podziwienia przy wahadle naszego zégara jest pewne urządzenie, o którém, abyśmy mogli w tém miejscu dać większości naszych czytelników dobre wyobrażenie, nie możemy sobie pochlebiać. Urządzenie to zależy na tém, że soczewka wahadła nie opisuje łuku koła, tak jak u wszystkich na świecie zégarów, ale łuk pewnéj linii krzywéj, w matematyce *cykloida* zwanéj; i to właśnie czyni ją jedyną w swoim rodzaju. Jestto prawdą dawno już w matematyce wyższéj znaną, że gdyby wahadło mogło kołysać się w taki sposób, aby soczewka jego kreśliła łuk cykloidalny, to wtedy jakikolwiekby był kąt wzniesienia wahadła,*) czasy pojedyńczych jego wahań byłyby sobie równe. Jeźli zaś soczewka kreśli łuk koła, to własność ta do dokładnego chodu zégara niezbędna, wtedy tylko ma miejsce, gdy kąty wzniesienia wahadła są bardzo małe (to jest gdy soczewka w drodze swéj tam i nazad małe tylko łuki zakreśla).

Nie brakło wprawdzie dotąd na doświadczeniach, aby wahadło wprowadzić w kołysania się cykloidalne, atoli świetne rozwiązanie tego zagadnienia czekało na techniczną przenikliwość profesora Stampfera; użył on do tego również prawdy w matematyce wyższéj znanéj: że jeżeli nitkę nawiniętą na cykloidę nazad odwijamy, wtedy koniec odwijanéj nitki zakreśla w swéj drodze także cykloidę. Rzecz tedy ta została w następujący sposób do skutku przywiedziona: wahadło zawieszone jest na sprężynie stalowéj, szérokiéj i bardzo giętkiéj, ta zaś sprężyna wzięta jest między dwie metalowe nakładki, których powierzchnie wewnętrzne ku sprężynie obrócone, wyrobione są w kształt cykloidalny; gdy tedy wahadło jest w ruchu, sprężyna ta przylega naprzód dokładnie do jednéj z tych powierzchni cykloidalnych, potém zwracając bieg swój w stronę przeciwną, trafia na drugą

*) Rozumie się, że długość ta wahadła sekundowego odpowiada tylko jednemu i temuż samemu miejscu kuli ziemskiej, z szérokości jeograficznéj znanemu. Ze zmianą zaś szérokości jeograficznéj, zmieniać się musi i długość wahadła sekundowego. (Przyp. tłum.)

*) Jeżeli wahadło zwyczajne, będące w spoczynku, sprowadzimy z położenia pionowego, soczewka jego przebieży łuk, a kąt, który czyni nowy kierunek wahadła z pierwszym jego kierunkiem, zowić się kątem wzniesienia wahadła. Kąt ten może być tedy większy lub mniejszy, a miarą jego wielkości jest łuk, który soczewka przebiegła. (Przyp. tłum.)

powierzchnię cykloidalną, tymczasem zaś soczewka wahadła na téj sprężynie wiszącego, zakreślać musi cykloidę. Nie można się nadziwić sztuczności i dokładności, z jaką te powierzchnie cykloidalne są wyrobione; uczony świat oczekuje od profesora Stampfera opisu, jakim to sposobem nastąpiło; także i umniczy rozbiór tego zégara byłby bardzo pożądany.

Zégar nasz odznacza się jeszcze tak, jak każdy dobry astronomiczny, tą własnością, że w czasie nakręcania iść nie przestaje; czém się zwyczajne zégary poszczycić nie mogą. Własność tę nadano mu za pomocą sprężyny umieszczonéj w tym walcu, na którym zawieszona jest waga, służąca za siłę popędną właściwemu zégarowi; sprężyna ta staje się przez cały czas nakręcania zégara siłą popędną, czyli zastępuje wspomnioną dopiéro wagę.

Okoliczność szczególna, przy robocie zégarów wieżowych nader ważna, i odrębnéj konstrukcyi wymagająca, jest ta: że skazówki z powodu znacznego nad powierzchnię ziemi wyniesienia, zbyt są wystawione na działanie wiatru. U większéj części zégarów wieżowych zwyczajnych, wiatr pędzi często skazówki to w tę, to w ową stronę, i wywiera tém samém i na właściwy werk zégarowy wpływ nader szkodliwy. Z tegoto powodu myślano już od niejakiego czasu nad tém, aby właściwy werk zégaru *(Gehwerk)*, odłączyć od werku skazówkowego *(Zeigewerk)*, tak, aby wspomniony wpływ siły wiatru nie mógł miéć miejsca. W naszym zégarze ratuszowym werk właściwy zégarowy działa na werk skazówkowy za pomocą dróta, ale tak, iż temu ostatniemu nadaje ruch tylko co minutę, to jest, skazówka minutowa poskakuje raz na minutę, a skazówka godzinna odbywa w tymże samym czasie mniejszą stosunkowo drogę. Urządzenie to z użyciem dróta daje tę ważną i dogodną korzyść, że jeden werk zégarowy może utrzymać w ruchu jaką bądź dowolną ilość werków skazówkowych, tak np: w zabudowaniu magistratualném można ich miéć tyle, ile się podoba. Dotąd zaprowadzono jeden tylko mały werk skazówkowy w kształcie zégara ściennego, a to w straźni *(Wachtzimmer)* wieżowéj, tak, iż straźnicy mogą w swojéj izbie zawsze aż na dokładność jednéj minuty, wiedzieć, jak stoi zégar miejski. Z resztą jest jeszcze w tym zégarze takie urządzenie, że skazówki nie mogą być wcale wzruszone, tylko wtedy, gdy przeskakują z jednéj minuty na drugą, a nawet i w czasie tego chwilowego ruchu nie ulegają wpływowi wiatru, choćby najsilniejszego, bo zapobieżono temu za pomocą oddzielnego znacznego ciężaru.

Mimo tego wszystkiego nie możnaby liczyć na doskonałość zégara, gdyby nie było sposobu przekonywania się od czasu do czasu, czy on jest dobrze nastawiony. W tym celu dodano mu jeszcze oddzielne narzędzie astronomiczne *(Passagen-Instrument)*, do obserwowania kiedy niekiedy téj chwili, w któréj słońce przechodzi przez sam południk miejsca. Z tablicy, ułożonéj na czas prawdziwy lwowski, wyrachował i ułożył profesor Stampfer tablicę na czas średni, czyli taki, jaki zégary wskazują; obserwacyja narzędziem, łącznie z uwagą na tę tablicę, przekonywają, czy zégar jest dobrze nastawiony, i czy dobrze idzie. Z dotychczasowych spostrzeżeń należy się zégarowi najchlubniejsze (co się można było spodziéwać) swiadectwo, tak, iż między astronomicznémi zajmować może zaszczytne miejsce, a między wszystkiemi na kuli ziemskiéj wieżowémi, pewno najpiérwsze.

I o tém wspomniéć nam jeszcze pozostaje, że werk, utrzymujący sam zégar w ruchu, idzie po nakręceniu godzin 48, werk zaś bijący (młotem o dzwon kwadransowy i godzinny) tylko 30 godzin. Gdyby się tedy zapomniało zégar nakręcić, to po ustaniu bicia szedłby jeszcze 18 godzin, a w tym czasie nie zaniedbanoby zapewne nakręcić go na nowo. Urządzenie to zapewnia więc, że zégar nigdy przez zapomnienie osoby doglądającéj go, stać nie będzie.

Z tego, że koła, wchodzące w skład zégara, są z lanego żelaza, chcieli mu niektórzy wróżyć nieszczęście, ale nie zastanowili się nad tém, że za nim zęby u koła z lanego żelaza miałyby pękać, los ten powinien wprzód paść na dzwony, które z kruchszego przecie są metalu i bardziéj jeszcze na zimno wystawione, a przecież doświadczenie nie mówi za tém bynajmniéj.

Warsztat c. k. instytutu politechnicznego wiedeńskiego, znany już z wyrobów swoich

najzaszczytniéj, nowy na naszym zégarze dał dowód, że jest w stanie wyrabiać dzieła kunsztowne z największą dokładnością i z najwyższą jaka w ludzkiéj jest mocy doskonałością.

Téj jeszcze na zakończenie nie możemy pominąć uwagi, że magistrat tutejszy powierzył arcymądrze dogląd tego zégara mężowi młodemu, naukowo wykształconemu i pełnemu talentów, który w każdym względzie umié cenić oddane sobie arcydzieło.

Niniejszém pismem zamierzyliśmy zwrócić uwagę mieszkańców Lwowa na osobliwość, jaką mamy w nowym zégarze, chcieliśmy przy téj sposobności uczcić niejako talent i naukę, połączone z rzadką skromnością w osobie profesora **Stampfera**, a przy tém wynurzyć wdzięczność, którą z autorem niniejszego artykułu przejęci są dla niego wszyscy ukształceni mieszkańcy Lwowa.

DR. STRASZNICKI,
profesor p. uniwersytecie lwow.
Tłumaczył *S. K. (z Mnemoz.)*

POWIEŚCI
NADBALTYCKIEGO LUDU.
Z Souvenirs de voyage
przez Marmiera.

Od wieków bajka miłością się troska,
Od wieków w bajce miłość berło dzierży;
Z Feami gada, w Talizmany wierzy,
Wywodzi bogów, bo sama jest boska!
Myśl głębsza leży w téj baśni wieczorze,
Co moje młode kołysała lata,
Niż w życia prawdzie, która jak dzień jasna!
Szyller.

Pomiędzy Folster i Zelandyją rozsypane jest niezliczone mnóstwo wysepek małych, których płaskie grzbiety zaledwo się z głębi nad powierzchnię morza wynurzają. Ziemia na tych wysepkach bardzo skąpo roślinna, a gdzie niegdzie tylko obaczysz tam ubogą chatkę. Gdy się wiatry od wschodu zerwą, spienione bałwany biją aż w progi tych siedzib nizkich. W dzień szumi powódź około stołu, u którego mieszkaniec z swoją rodziną siedzi, grzmi w nocy pod łożem, na którém zasypia; dom jego jest łodzią, w około morzem otoczoną; morze jego żywiołem, jego niezmiernym światem, lecz oraz i ciasnym obrębem, w którym wszelką swoję radość i wszelkie zmartwienie mieści. Jak owe młode ptaki, które doświadczając skrzydeł swoich, w coraz dalsze unoszą się powietrza przestworze; puszczają się również dzieci jego, z każdym dniem śmieléj, na otwartsze powodzi przestrzenia. W morze zarzuca on codziennie sieci swoje i w niém szuka żniwa dla siebie. Z uśmiéchem wabi go morze na swe jasne kryształy, i poddaje się ochoczo i pieszczotnie uderzeniom wiosła jego; samo nawet niebo nie jest tak czyste, jak to głębokie i przejrzyste zwierciadło, i szum wiatru na lesie nie jest tak miłym dla ucha, jak cichy plusk fali, gdy za lekkim powionem wiatru, łódź jak strzała leci, i za sobą, jasną, długą, nito srébrną, pozostawia wstęgę. W takichto cichych godzinach daje się słyszéć spiéw ducha morskiéj powodzi, który głęboko w ciemno-smaragdowéj przemieszkiwa grocie. W takichto uroczystych godzinach wypływa z swoją złotą arfą dziewica morska na powierzchnią sklannéj toni, i urokiem swojego spiéwu czaruje duszę żeglarza. Wtedy nagle burzy się spokojne morze, rozdyma gniewem pierś swoję, i wydaje ryk przeraźliwy w około małéj wyspy. Rybak, oswojony z dziwaczeniem morza, i kochający tę niestałość humoru swojéj kochanki, spieszy do łodzi i wyciąga ją kwapliwie na brzég bezpieczny.

Lud powiada, że te wyspy są dziełem czarowników, którzy dla łatwiejszego przybycia z jednego kraju do drugiego, porozrzucali je jako staje gościńcowe na morzu. Wyspy te na niektórych miejscach tak dalece są do siebie zbliżone, że morze traci przezto zupełnie swój charakter, i podobne jest raczéj do rzéki, mającéj szérokość Wisły lub Dunaju. Z jednego brzegu można dokładnie dostrzédz drugi, a nawet policzyć domy. Pomiędzy témi wyspami dobywają się z morza jasne, ogromne skały, uwieńczone wysokiemi drzewy, których szczyty w obłokach się kołyszą. Lecz to, coby jeolog wapiennémi górami nazywał, nie jest bynajmniéj wapnem; las, który mniemasz być gajem, nie jest nim bynajmniéj. Jestto młoda i piękna czarodziejka, morzu i wyspom panująca, przyodziana w białą, skalistą szatę, któréj olbrzymie przeguby na dno morza spadają i ćmią oko w słonecznem blasku. Owa kończata igła skalista, najeżona z prawéj strony do góry, jest potężnem jéj berłem, a dąbrowa, bujająca na szczycie, jest koroną jéj głowy. Ona ma tron swój na téj wysokiéj skale, która *dronning-stol*, czyli stolicą królowéj jest na-

zwaną. Ztamtąd ona włada swojém królestwem i jest również opiekunką słabéj łodzi rybaka, jak pysznego okrętu bogatego kupca. Nie raz śród nocnéj ciszy słychać na tém miejscu najsłodsze harmonii strumienie, dziwnie zachwycające głosy, którym żaden głos nie wyrówna na ziemi naszéj. Sąto młode Feje, spiéwające przed swą królową, jestto królowa, dziękująca im uśmiéchem i uprzejmością.

Zaiste, lud jest największym poetą pod słońcem! On przyjmuje wrażenia wielkiéj przyrody w swoję tkliwą, czérstwą i nieskażoną duszę. Tam, gdzie umiejętność rozbiéra obojętnie, gdzie zimną rozwagą zabija życie, tam lud tworczo wynajduje, ożywia obumarłe, i daje duszę tworom, które badacz umiejętny martwą materyją być mniema. Lud buja wzdłuż brzegów morza i widzi w niém królestwo duchów; on kroczy u podnóża wapiennéj skały i widzi w niéj królowę, i nazywa ten obraz poezyjny, przez samo już miano swoje, *Moensklint*, czyli skałą dziewicy.

Po za *Moensklint* szérzy się morze coraz bardziéj; ucieka przed okiem, pieści się w dali z niebem i z niém się jednoczy; po prawéj stronie ciągnie się wybrzeże szwedzkie z kończatemi wieżami Lundu, po lewéj, brzég duński z twierdzą, która jest obroną stolicy. Wszystkie te wybrzeża Baltyckiego Morza zaludnione są zagami, to jest: dumkami, spiéwnémi powieściami, które noszą na sobie częścią wyraz prawdziwie religijnego uczucia, częścią pogaństwa; piérwsze są proste i tkliwe, jak żałośne treny, drugie świetne i ozdobne, jak różnobarwna bajka o Fejach czarodziejskich, płód ruchliwego umu i gorącéj fantazyi.

Żeglarz jest łatwowierny i zabobonny; życie pełne przygód, które prowadzi, przypadki, na które się naraża, niebezpieczeństwa, któremi zewsząd jest zagrożony, utrzymują w umyśle jego miłość do cudowności. Nie raz spada na niego burza pośród najpiękniéjszych jego nadziei; wiedza jego nie jest w stanie wyjaśnić mu tak nagłych zmian powietrza; nié maż każdéj rzeczy nadzwyczajnéj, która się mu wydarzy, przypisywać potędze istot niewidomych? On wierzy w złośliwe, psotne duchy, w nieszczęśliwe dni, w przeczucie i przeznaczenie. Na wyspach północnych utrzymują się zagi przez odosobnienie się mieszkańców. One gnieżdżą się i wkorzeniają głęboko, przechodzą od pokolenia do pokolenia. Żeglarz się ich uczy w swojém dzieciństwie, rozpowiada je w swoich podróżach i po długich latach przynosi je czérstwe i niezwątlone znowu do swojéj rodzinnéj zagrody. Na tych wyspach, równie jak w Niemczech północnych, wiadome są każdemu powieści o napowietrznych *Elfach*, o tychto w łunie księżyca pląsających istotach, o wieloramiennych olbrzymach, zaklętych mieczach i skarbach, których strzegą ognioziejne smoki. Tam mieszkają morscy topielcy z zieloną brodą, którym długie zielone włosy, jako trawa morska, na barki spadają. Podczas cichych wieczorów kołysają się oni na srébrnych falach, i zachwycającém pieniem wabią na brzég pochętne dziewice, i zbliżone wciągają je w głąb, do swojéj kryształowéj groty. Tam przebywają czarodzieje, którzy zaklętemi runami budzą ze snu burzę, wzdymają w górę bałwany i roztrzaskaną łódź rybaka zagrążają w przepaść bezdenną. Tam, równie jak we wszystkich górzystych okolicach europejskich, znajdziesz dzikich myśliwców, którzy za grzéchy brną w nocy po grząskich moczarach i po szérokich czarnych lasów uganiają się zrębach. Nie raz pośród burzliwéj, wichrami wyjącéj nocy słyszą mieszkańcy *Sternsklinta*, czyli gwiazdzistéj skały, szczekanie psa gończego *Groenjetta* (myśliwca w zielonéj kurtce), widzą go samego, jak z potężną dzidą w dłoni spuszcza się na dolinę; wtedy rzucają przed swoje sieni garść owsa dla jego ogniem pryskającego rumaka, aby im dzikim pędem swoim nie stratował plonu. Wierzą nawet, że król *Elfów* na przemiany przebywa na téj wyspie, mianowicie raz na wyspie Moe, a drugi raz na wyspie Rügen. Cztéry kare, bujnogrzywiaste ogiery zaprzężone są do jego rydwanu. Onto przejeżdżając z wyspy na wyspę, świszcząc przerzyna szlaki powietrzne; słychać wtedy wyraźnie rżenie jego rumaków, a morze ubiéra się w płaszcz czarny. Król ten dowodzi wielkiém wojskiem, żołniérze jego sąto olbrzymie dęby, któremi wyspy są okryte. Przez cały dzień są zaklęte i pod grubą korą pędzą martwe życie; lecz skoro noc zapadnie, wtedy ruszają z miejsca, wdziéwają na głowy przyłbicę, biorą do rąk oszczepy i miecze, i przechadzają

się pośród poświaty księżyca. W czasie wojny król zgromadza ich w około siebie; widać ich kroczących na wybrzeżu, a wtedy biada temu, ktoby kraj pustoszyć się ważył!

Inne zagi są znowu zupełnie w duchu religijnym. Sąto przykazania miłości bliźniego, łagodności, nauka zgody i pojednania, jestto wielka mistyka średnich wieków, którą pobożny duch ludu przez symbola wyraził i poezyjną szatą przyodział. Nazwa *Maryoboe* oznacza mieszkanie Najświętszéj Maryi dziewicy. Niebieskim płomieniem, siedmiobarwną łuną okazała Najświętsza Dziewica, że obiéra dla siebie na mieszkanie tę wyspę, i zbudowano tamże dla niéj spaniały kościoł. Na wyspie kapłańskiéj żyje dotychczas w uściech ludu legenda, powieść cudownością promienna. Na téj wyspie żył niegdyś pobożny kapłan, a miano jego było Anders, który od wszystkich dla swéj cnoty był czczony. Kapłan ten rozdał był cały majątek swój między ubogich i nic sobie nie zostawił tylko jeden szeląg. Ile razy potém był w potrzebie, zawsze posyłał ten szeląg do kupca lub wieśniaka, a ci zawsze dostarczali mu wszystkiego, i zwracali z uszanowaniem wydany szeląg. Na innéj znowu wyspie kościoł znieważony przez zgraję bezbożników, zapadł się w morskie przepaście. Dotychczas słychać tam śród nocnéj pory psalmy, które ci nieszczęśliwi z płaczem i bolesnym jękiem śpiéwają, i dotychczas widać podczas ciszy morskiéj jarzące świéce, które przed ołtarzem goreją. Ci bezbożnicy skazani są za swoje zbrodnie śpiéwać i pokutować śród głębi morza aż do dnia sądnego.

Na tém samém wybrzeżu w czasie nocnéj zawieruchy, widzieli nieraz majtkowie przy świetle błyskawicy rozdzierającéj ciemności nocne, jak po wiérzchu rozhukanych bałwanów z największą ciszą przesuwał się okręt osobliwszéj budowy, którego ani koloru, ani bandery rozeznać nie byli w stanie. Od tego nieznanego okrętu odbija łódka, i po wzburzoném morzu przypływa lekko i bezpiecznie aż do samego brzegu. Kilku dziwnych, bladych lic mężczyzn, składa paczkę listów na brzegu i znowu znika w tło ciemności nocnych. Listy te, pisane są do osób, które przed kilką set laty już pomarły, których nazwiska nie zna żaden z żyjących.

Na wyspie Falster żyła niegdy bogata pani, która była bezdzietna. Pani ta chciała świątobliwie użyć swego bogactwa i zbudowała kościoł. Gdy budowla w pięknym, pysznym kształcie już z gruntu była wyrosła, wstąpiła próżność do gruntu serca pani; mniemała bowiem, że jéj wolno żądać, aby niebo w nagrodę jéj uczynku, wysłuchało jéj prośby! Prosiła więc, aby tak długo żyła, jak długo jéj kościoł stać będzie. Śmierć przechodziła koło jéj drzwi często, ale nigdy w nié nie zakołatała. Zabiérała na około sąsiadów i przyjaciół i krewnych, ale jéj saméj nie drasnęła nigdy ostrzem swéj stali. Pani ta przeżyła wszystkie wojny, wszystkie morowe plagi, i wszystkie nieszczęścia, które tylko na kraj ten spadały. Żyła tak długo, że już nareszcie nie miała żadnego znajomego, żadnego przyjaciela, z którymby się rozmawiać mogła; mówiła zawsze o czasie tak upłynionym, że jéj nikt nie zrozumiał. Uprosiła sobie wprawdzie od Boga długie życie, ale zapomniała sobie wybłagać oraz młodości wiekokwitłéj. Bóg dozwolił jéj tylko długiego życia, a biédna pani zestarzała się w nadmiar natury człowieczéj. Wszystkię zmysły ją opuściły, straciła wzrok, słuch i mowę. Na kilka dni przed zupełną niewładnością, kazała się zamknąć w dębową skrzynię i zanieść do kościoła. Co i uskuteczniono. Każdego roku podczas świąt wielkanocnych powraca na jednę godzinę do opamiętania się, i każdego roku o téj saméj godzinie przychodzi do niéj kapłan z zapytaniem, czegoby sobie od Boga życzyła. Nieszczęsna podnosi się do połowy z swéj skrzyni i pyta: «Czy stoi jeszcze mój kościoł?« — »Stoi!« odpowiada jéj kapłan. — »Ach!« woła nieszczęsna, »dałby Bóg, aby już raz zapadł się w gruzy!« Z najgłębszém westchnieniem serca upada znowu na swoje miejsce, a wieko skrzyni znowu się nad nią zawiéra!

SMYCZEK FIORILLEGO.

W wieku przeszłym celował baronet Bayge w Londynie między tymi, którzy się troskliwie muzyką zajmowali. Człowiek ten był bardzo majętnym, a zatem w stanie zadość uczynić swojemu zamiłowaniu, które nakoniec niezbędną namiętnością się stało.

Odmieniając raz po raz swych muzykalnych sekretarzy, przyjął nareszcie sławnego włoskiego wirtuoza Fiorillego, który tak był szczérym i poczciwym, jak ziomkowie jego są zwyczajnie chytrymi i przebiegłymi.

Jakkolwiek baronet codziennie trzy godziny poświęcał ćwiczeniu się na skrzypcach, nie mógł jednak do tego stopnia doprowadzić, aby uszu nie obraził. Fiorillo martwił się tém niezmiernie i nie wiedział jak temu zaradzić. To trwało przez trzy lata, nareszcie dokazał tego, że baronet był w stanie grać z nim duet jako tako. Tém uniesiony baronet oświadczył Fiorillemu, iż postanowił popisać się przed swemi przyjaciołmi i okazać im próbę swego postępu, zalecając mu oraz, aby przyrządził koncert.

Bogaty baronet porozsyłał wszędzie bilety z zaproszeniem, a oryginalność jego tak dobrze była znana na wielkim świecie, iż wszyscy znajomi dla złośliwéj zabawy, przyrzekli, że się na nim znajdować będą.

Nareszcie przyszedł dzień koncertu. Fiorillo był zamyślony i jadł bardzo mało, chociaż sam na sam z piękną siostrzenicą baroneta przy śniadaniu siedział. »Cóż ci to, panie mistrzu?« zapytała go piękna dziewica.

»Ach, pani,« odrzekł Fiorillo, »idzie mi o rzecz nie małą; boję się, aby pan baronet dziś w wieczór na sztych nie wystawił mojéj 20letniéj sławy wirtuoza.«

Biedny mistrz udał się w samėj rzeczy z wielką trwogą na próbę. Baronet przeciwnie, stał śmiało; gdy nań przyszło *solo*, wystąpił dumnie na podniesienie, przeznaczone dla wirtuozów; ale nim jeszcze orkiestra swoje skończyła, już baronet zaczął skrzypieć smykiem bez taktu i niemiłosiernie! Chociaż jego *solo* muzykom uszy świdrowało, wszelako będąc zapłaceni, nie skrzywili na to i twarzy, a lubo pochwała ich cokolwiek na drwiny zarywała, baronet był nią najszczęśliwszym człowiekiem w świecie. Próba skończyła się, a nadszedł wieczór koncertowy. Świetne zgromadzenie słuchaczy, między którymi znajdowali się najcelniejsi znawcy muzyki i wirtuozy, zrobiło na baronecie wielkie wrażenie. Mimowolnie ogarnęła go trwoga i pocić się zaczął; żądał pomówić z Fiorillem; ale nie było go przez całe po obiedzie, i nikt nie wiedział, gdzieby się podział.

»*Allons*,« rzekł baronet do siebie, »los już rzucony, odwołać nie można; rad nie rad grać muszę. Ale do walki Fiorilla smyczek wezmę tą razą.«

Przyniesiono mu, czego zażądał, a koncert zaczął się chórem, po którym jedna z dam odśpiewała przedziwnie aryję Paesiella. Teraz przyszła kolej na baroneta. Drżący wystąpił na scenę i skłonił się dostojnym gościom. Popis się zaczął; orkiestra skończyła swoje *tutti*, a baronet wykonał z zadziwiającą siłą i nadspodzianą lekkością piérwszą część koncertu. Wszyscy przytomni, którzy przyszli byli dla szydzenia, posłupieli! Ale jakże wielkie było ich zadziwienie, gdy baronet dał się słyszeć w zachwycający sposób w drugiéj części koncertu, w któréj z pomiędzy skupionych trudności jedno miejsce jak piérwosnek między cierniami zajaśniało. Wszyscy słuchacze powstali, zaczęli wywijać chustkami, i imię nowego amfijona, hucznémi zabrzmiało oklaski. Biedny lord doznał radości, jakiéj nigdy w życiu nie doznawał; drżały pod nim kolana, a zimny pot wystąpił na jego czoło.

Nazajutrz pokojowiec, sprzątujący w pokoju narzędzie muzyczne, znalazł kosztowny smyczek, którego włosy były grubo łojem osmarowane. Tym widokiem zdziwiony, pokazał go swemu panu, który pomyśliwszy przez chwilę, kazał przywołać do siebie Fiorillego.

»Tym smyczkiem, kochany mistrzu,« rzekł baronet, »odniosłem wczoraj zupełne zwycięztwo; zatrzymam go na pamiątkę dla siebie, a wćpanu dam inny.«

To rzekłszy wręczył Fiorillemu zapis na sto funtów szterlig. pensyi dożywotnéj.

»Ale radbym wiedział, jakim sposobem smyczek ten został tak zatłuszczonym?«

Fiorillo spuścił głowę i nie śmiał odpowiedzieć...

»Kochany wujaszku,« zawoła siostrzenica z uśmiéchem, »pan Fiorillo grał wtedy za parawanem, gdy wujaszek z największym zapałem, ile ci sił stało, wyrabiałeś po strunach, które żadnego tonu wydać nie mogły, bo smyczek był zatłuszczonym.«

»Osobliwszy skutek miłości własnéj!« rzekł baronet po niejakiém milczeniu. »No, patrzcież! a ja wczorajszego wieczora byłem tą myślą upojony, żeto ja sam tak pięknie wygrywałem... Lecz mniejsza oto! kochany Fiorillo! za to, żeś tak przemyślnie uratował mój honor wirtuoza, podwoję ci pensyję. Sam zaś zrzekam się na zawsze w tym względzie popisu.«

Baronet dotrzymał słowa, zarzucił skrzypce, i odtąd starał się tylko swój wpływ na niemuzykalne głosy wyborców wywiérać... Oby w ślady jego poszli i niepowołani poeci!! —

— Ze Lwowa. —

Nakładem księgarni J. Millikowskiego wyszło u nas temi dniami dziełko: »*Rafinowanie oleju*«, z opisaniem ryciny litografowanéj, wyobrażającéj potrzebny do tego aparat, przez Teodora Torosiewicza.« W rafinowaniu oleju fabryczném, czyli na wielką miarę, małe dotąd uczyniliśmy postępy; niedostateczności to sposobów i znacznym kosztom rafinowania przypisać należy, iż cena oleju rafinowanego jest u nas w porównaniu z ceną surowego, bardzo wysoka; a co gorsza, olej rafinowany, który drogo płacimy, nie raz w paleniu kopci, i odor nieprzyjemny wydaje. Pożądaném więc powinno być dla nas zjawieniem dziełko, którego autor, znany w uczonym świecie chemik, jest niezawodną rękojmią wierzytelności i doskonałości metody, wypróbowanéj własnemi mozolnemi doświadczeniami. Dziełko to różni się od wszystkich wydanych w języku niemieckim (zwykle dla tajemnicy opieczętowanych i drogo przedawanych), metodą, łatwą, prostą i tanią, uwalniania oleju od kwasu użytego do czyszczenia. Mozolne płukanie wodą gorącą staje się przy téj metodzie zupełnie niepotrzebném. Aparat do filtrowania oleju chemicznie sprawionego, opisany bardzo dokładnie i na rycinie wyobrażony, jest wcale prosty i tani; za pomocą tego aparatu otrzymuje się w krótkim czasie olej *jak najczystszy*, a ubytek jego przez filtrowanie jest bardzo nieznaczny. *S. K.*

Noworoczniki warszawskie na r. 1838. W zeszłym miesiącu rozpoczął się w Warszawie druk Noworocznika na r. 1838, pod tytułem *Pierwiosnek*, który będzie jedyną w swoim rodzaju osobliwością. Noworocznik ten, pod redakcyją pani Pauliny K. przeznaczony jest wyłącznie na pisma dam samych. Żaden z literatów, chociażby z najpiękniejszym płodem, miejsca tam nie znajdzie. — Tamże wyjdzie drugi Noworocznik na r. 1838, pod tytułem: *Niezapominajki*, zbioru i wydania Karola Korwella. Za przyjemny obowiązek poczytuje wydawca tego Noworocznika zawiadomić miłośników literatury nadobnéj, że się nim przysłuży około połowy ostatniego miesiąca roku bież., i że oraz największe ma staranie o to, czémby dobremu smakowi, ciekawości, tudzież znajomości języka mógł dogodzić, tak, iżby *Niezapominajki* stały się rzeczywiście miłym dla czytających upominkiem. (K. W.)

Z Wilna. (Wyjątek z listu.) Oglądałem rękopisy, kupione przez Zawadzkiego po ś. p. Ludwiku Sobolewskim; opiszę je po krótce: 1) Dykcyjonarz poetów polskich Juszyńskiego, pomnożony o połowę przez Sobolewskiego. 2) Historyja literatury polskiéj, przez Bentkowskiego, tomów 6 *in 4to*, prawie całkiem zapisanych. 2) Biblijoteka polska i *miscelanea*, pięć grubych kwartantów. Wszystko to rzuci niezmierne światło na literaturę i na historyją nauk w kraju naszym, przed i po wprowadzeniu druku do Polski. Szydłowski wydaje Juszyńskiego, inni literaci rozebrali między siebie Bentkowskiego. Prospekt, który wkrótce ma wyjść, obezna publiczność z planem wydawców. Widziałem już próbę druku i kształtu Bentkowskiego, jestto wielka stronica o dwóch kolumnach, na wzór bruxelskiego *Chapsala* i *Laplaca*. Typy Zawadzki nowe ku temu sprowadził, równie jak i dwie kolumbijskie prasy. Przez skore wydanie tych rękopisów Zawadzki nabędzie nowego prawa do wdzięczności. (Gaz. Poran.)

Literatura rossyjska. Cesarska akademija nauk w Petersburgu postanowiła wydawać starosławiańską ewangeliją Ostromirską. Panu Wostokow, korespondentowi akademii i gruntownemu znawcy sławiańskiego języka, który ten kodex mniema być trzecią, a najwięcéj czwartą kopiją ewangelij przez Cyryliusza przełożonych, polecono ogłoszenie tego wydania. Ma on dodać komentarz objaśniający wszystkie słowa i sposoby mówienia w Ewangelii. Kodex sam znajduje się w publicznej biblijotece w Petersburgu, i napisany był r. 1057 dla Ostromira, posadnika Nowogrodzkiego, który był blizkim

krewnym Izasława Jarosławicza. Zmarły hrabia Rumiancow miał już zamysł wydrukowania tego kodexu; kazał już był wyryć 70 znaków piśmiennych, które w dzisiejszym sławiańskim języku nie są już w używaniu; po śmierci Rumiancowa przesłał te znaki p. Köppen akademii petersburskiéj.

Muzyka angielska. Merv, opisując festyn wstrzemięźliwości w Liwerpolu, w *Revue de Paris*, robi uwagę następującą: »Jestem na zabój rozkochany w muzyce angielskiéj. Każdy tam muzyk gra z taką niepodległością, iż mi to nadzwyczajną radość sprawia; każdy pracuje tylko dla siebie, nie troszcząc się bynajmniej o swojego sąsiada. Orkiestra angielska składa się z mnóstwa członków *solo* grających, którzy nie mają téj jednostajnéj zgody i całości, jaką zwykle u nas w operze i u Włochów podziwiamy. Zaiste, artysta angielski nie zrzekł się swoich praw obywatelskich; wziąwszy do ręki klarynet lub waltornię, wolno mu grać podług jego fantazyi i wyłamać się z pod despotyzmu dyrektora orkiestry; jest on wszelkiéj tyranii nieprzyjacielem. Orkiestra angielska jest jako reprezentacyjna izba harmonii, w któréj każden członek zachowuje swoję wolność i przywileje, i głos swój według upodobania w urnę nót rzuca. Prawdziwie, ta symfoniczna wolność sprawia nie raz drażliwą muzykę dla słuchaczy; ale i słuchacze mają także prawo wolności dla siebie, to jest: wolno im nie słuchać.«

O przeorywaniu wzejszłego zboża. Przeorywać na nowo pole, na którém wzejszło zboże, sprzeciwia się na pozór rolnictwu. Jak łatwo można sobie wystawić, iż roślina przez to zburzona, korzeń rozorany, zaród zgnieciony i cały zasiew tym sposobem zniszczony będzie, a jednak niezliczone doświadczenia przykonywują, że ztąd najmniejszéj nie masz szkody. W Liwonii i Estonii nie tylko, że w téj mierze nie raz czyniono próby, ale w obwodzie arensburskim na wyspie Desel, w gubernii liwońskiéj, przeorywanie wzejszłego zboża należy nawet do zwyczajnéj uprawy pola. Co do nasienia jęczmiennego, postępuje się tam zwykle w sposobie następującym: Pod jesień orze się pole, potém w kwietniu sieje się na niém jęczmień i zaorywa; lecz skoro zupełnie już wzejdzie, wtedy drugi raz przeorywa się pole. Taki sposób rolnictwa jest tam od niepamiętnych czasów zaprowadzony, i dla wykorzenienia chwastu niezbędnie potrzebny. Lecz ten sposób może być użytym także do innych rodzajów zboża. Jeden obywatel w Estonii postrzegł, iż wzejszły owies wielkim był otoczony chwastem, i że wiele ziarn, które na powierzchni leżały, jeszcze kła nie puściły. Kazał więc całą rolę przeorać i zawłóczyć. Próba powiodła się szczęśliwie, owies zrodził się nadzwyczaj piękny, a za jego przykładem zebrał nie jeden gospodarz piękne plony. Inny znowu na nizkim i iłowatym gruncie posiał żyto. Ale ponieważ właśnie deszcz padał, i nikt nie doglądał, dla tego bardzo źle zorano pole, a jeszcze gorzéj zawłóczono. Wyszedłszy po niejakim czasie na pole znalazł, że się pokryło twardą krustą. Chociaż żyto już dość było wzejszło wysoko, postanowił jednak jeszcze raz przeorać i mocno zawłóczyć pole; żyto urodziło się wyśmienite. Te spostrzeżenia, którebym wielu doświadczeniami mógł potwierdzić, staną się wtedy pożytecznemi dla ziemianina, jeżeli nasienie jego chwast przytłumi, albo jeżeli słota uprawę pola utrudni, mianowicie w okolicach, gdzie są poziome, wilgotne i iłowate grunta. Takiego pola podczas ustawicznéj słoty, ani dobrze uprawić, ani zawłóczyć nie można. A jednak ziemianin częstokroć z zasiewem kwapić się musi, zwłaszcza pod jesień, gdyż z rychłemi mrozami wszelka siejba ustaje.

Lekarstwo na wściekliznę. Gazety angielskie zawiérają dla lekarzy doniesienie następujące: Lekarz paryzki doktor Buisson zawołany był do jednéj pani, o któréj mówiono, że już przez trzy dni choruje na wściekliznę. Miała ona zwyczajne téj choroby znamiona, kurcz w gardle, nie mogła połykać, i z ust toczyła pianę. Sąsiedzi mówili, iż przed czternastą dniami ukąsił ją pies wściekły. Pani ta nalegała na doktora, ażeby jéj krew puścił, poczém jak się spodziewano, w kilka godzin umarła. Dr. Buisson, mając obryzgane krwią ręce, oczyścił je ręcznikiem, który służył do ocierania piany z ust pacientki, a na jednym palcu miał wrzód, mniemał być jednak rzeczą dostateczną, obmyć wodą pianę, któraby na nim jeszcze była pozostać się mogła. Jadąc potem dnia dziewiątego w karyjolce, zaczął czuć boleść gardła, a jeszcze bardziéj oczu. Potém zaczął z ust toczyć pianę; przeciąg powietrza i widok połyskających rzeczy, sprawiały mu boleść niewymowną. Ciało jego zdało się mu tak lekkiém, iż mniemał, że nadzwyczaj wysoko skoczyć może. Brała go chęć biegać i kąsać, jednak nie ludzi, lecz zwierzęta i nieżywotne przedmioty. W reszcie i pić nie mógł, a widok wody był dla niego jeszcze przykrzejszym, niż boleść w ustach. Boleść ta zdawała się poczynać w chorym palcu, a ztamtąd aż wyż ramion przechodzić. Po tych znamionach przekonał się, że ma wściekliznę, i zwątpiwszy o wyzdrowieniu, postanowił w parowéj kąpieli się udusić. Udawszy się w tym zamiarze do łaźni, kazał rozgrzać parę aż do 176 stopnia Fahrenheita i z wielkiém podziwieniem równie jak ukontentowaniem spostrzegł, że zupełnie wrócił do zdrowia. Wyszedł z kąpieli zdrów, jadł smacznie obiad i pił więcéj jak zwykle. »Od tego czasu (mówi) leczyłem tym sposobem więcéj niż ośmdziesiąt osób od psa wściekłego pokąsanych, i wszystkie wyzdrowiały, wyjąwszy jedno dziecko siedmioletnie.« Sposób leczenia przez niego zalecony zależy na tém, aby ukąszony brał pewną liczbę kąpieli parowych lub rossyjskich i każdéj nocy mocno pocić się starał, by owinął się flanelą, nakrył się pierzyną, a dla ułatwienia spocenia się, pijał często ciepły odwar *sassa parylla*. Buisson powiada, że tak mocno jest przekonany o dzielnym skutku tego leczenia, iż sobie każe tę chorobę zaszczepić. Na dowód jak pożytecznem jest ciągłe i obfite pocenie się, przytacza anegdotę następującą: Pewien krewny kompozyty Gretrego pokąsany był od psa wściekłego razem z innymi, którzy wszyscy na wściekliznę pomarli. Krewny ten, spostrzegłszy na sobie znamiona téj choroby, zaczął dzień i noc tańczyć, mówiąc, iż chce umrzeć wesoło i — wyzdrowiał. Buisson odwołuje się także, że tańczenie jest lekarstwem na ukąszenie od tarantuli, i zwraca uwagę na tę istotną prawdę, iż zwierzęta, w których się wścieklizna po większéj części rozwija sama przez się, jakoto: psy, wilki i lisy, nigdy się nie pocą.

Szuler upokorzony. Gazeta Poranna powiada o Auguście II., Sasie, następującą anegdotę: August, będąc pewnego razu w Wenecyi, podczas festynu na maskowym balu, przybliżył się do banku, na którym grano w znaczne sumy i postawił talara. »Czyto dla służącego?« rzekł bankier szyderczym głosem i odsunął na bok nikczemną stawkę, a król zawołał na to: »*Va banque!*« Gdy bankier zaczął czekać na stawkę, król pokazał mu kosztowne pod domino klejnoty. Bankier wyciągnął karty, a król wygrał. Bankier przestraszony chciał mu płacić wygranę, lecz August, zdjąwszy z siebie maskę i obróciwszy się tyłem do bankiera, rzekł: »To dla służącego, mości panie.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*